

TEMATY TYGODNIA

- 10 Mariusz Janicki
Wiesław Władyka
Logika drugiej tury
- 14 Rozmowa z politologiem i socjologiem
Radosławem Markowskim o tym, co się stało
- 16 Wojciech Szacki
Fenomen Kukiza

POLITYKA

- 22 Piotr Pytlakowski
Czy wszystko to spisek?

SPOŁECZEŃSTWO

- 24 Violetta Krasnowska
Polak zapragnął broni
- 28 Joanna Podgórska
Kobiety też piją – przełamane tabu
- 32 Edyta Gietka
Jak zostać sprzątaczką
- 35 Rozmowa z **Piotrem Sapieżyńskim** o złomowaniu polskiej Marynarki Wojennej
- 38 Anna Świętek
OGLĄD I POGLĄD Nowa matura nie zdaje egzaminu

RYNEK

- 42 Adam Grzeszak
Food tracki: żywią i jadą

EDUKATOR EKONOMICZNY

- 46 Witold M. Orłowski, Paweł Tarnowski, Cezary Kowanda
O urokach euro, chwiejnym III filarze i niebezpiecznych chwilówkach

ŚWIAT

- 52 Kaja Puto, Ziemowit Szczerek
ABCHAZJA Kurs na Rosję
- 56 Maciej Jarkowicz
Upadek metropolii
- 59 Jędrzej Winiecki
AUSTRALIA Tu się nie cacka z imigrantami

HISTORIA

- 62 Ryszarda Socha
II RP: jak się wyjeżdżało za chlebem



10–18 Po wyborach: analizy i scenariusze



24 Polska zbrojna



28 Matki na promilach



52 Abchazja: bilet w jedną stronę

- 66 Marian Turski
Kto dostał tegoroczne Nagrody Historyczne

NAUKA

- 68 Mirosław Szreder
Dyskryminująca statystyka
- 72 TECHNOECHO
- 74 Paweł Walewski
Szpitala marnie karmią

KULTURA

- 80 Piotr Sarzyński
Nagrody Architektoniczne POLITYKI: piątka nominowanych
- 84 Rozmowa z **Agnieszka Odorowicz**, odchodzącą dyrektorką Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej
- 88 Olaf Szewczyk
Czar „Wiedźmina 3”
- 91 KAWIARNIA LITERACKA
Pablopavo
- 92 Bartek Chaciński
Festiwal piosenki (nie)polskiej w Poznaniu
- 95 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

- 96 Andrzej Czerniawski
Jeden dzień z życia szafiarki
- 99 Piotr Adamczewski
ZA STOŁEM Uczta u admirała Nelsona
- 100 Piotr Sarzyński
Biennale w Wenecji: czytanie Marksa

NA WŁASNE OCZY

- 108 Tekst i fotografie
Jakub Ciećkiewicz
Hollywood na Saharze

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 76 Afisz • 102 Passent
- 104 Hartman
- 105 Do i od redakcji
- 106 Fusy, plusy i minusy
- 114 Polityka i obyczaje



www.mleczeko.pl

sławomir mizerski z życia sfer

Urzędnik pokazuje język

Media publikują wyniki badań, z których wynika, że polski urzędnik traci kontakt z obywatelem, gdyż zwraca się do niego językiem trudnym i niezrozumiałym. Analizy wykonane za pomocą dostępnej w sieci aplikacji Jasnopis.pl pokazują, że aby zrozumieć niektóre treści zamieszczone na stronie Ministerstwa Finansów, trzeba mieć dyplom magistra, a w przypadku treści z witryny resortu edukacji – nawet doktorat. Niestety, podejrzewam, że urzędnik ma w pracy ważniejsze problemy niż mówienie czy pisanie do obywatela tak, żeby ten coś rozumiał. Problemem urzędnika jest np. to, żeby obywatel czuł wobec niego respekt. Jeśli język urzędnika byłby zbyt prosty i zrozumiały, obywatel tego respektu by nie czuł, co mogłoby mieć dla niego fatalne skutki w postaci niemożności pozytywnego załatwienia jego sprawy. Zresztą gdyby język urzędnika był prosty i zrozumiały, obywatel bez trudu by się zo-

rientował, co ten urzędnik do niego mówi lub pisze i mógłby się z tym nie zgodzić, a przecież nie o to w pracy urzędnika chodzi.

W 2012 r. z udziałem Senatu i rzecznika praw obywatelskich zainicjowano kampanię „Język urzędowy przyjazny obywatelom”. Jednak część urzędników nie kryje, że w ich pracy taki język nie bardzo się sprawdza. Przyjazny język, zwłaszcza w połączeniu z miłym wyrazem twarzy, od razu wzbudza u obywatela niepokój i podejrzenie, że zastawia się na niego jakąś wredną pułapkę. Poza tym na skutek bycia przez urzędnika miłym może powstać wrażenie, że to on ma jakąś sprawę do obywatela, a nie obywatel do niego, co jest dla urzędnika sytuacją przykrą, a nawet trochę upokarzającą. Dlatego wśród urzędników przeważa pogląd, że to obywatel powinien być przyjazny w kontakcie z urzędnikiem, a nie na odwrót. Zwłaszcza że urzędnik, który zobaczy przyjaźnie nastawio-

nego obywatela, na pewno chętnie uprości swój język, a w sprawach wymagających szybkiego załatwienia może w ogóle zdecydować się na komunikację bez użycia zbędnych słów.

W prasie czytam, że aplikacja Jasnopis.pl na podstawie skomplikowanego wzoru matematycznego dokonuje analizy urzędniczego tekstu i wystawia ocenę w skali od 1 do 7, biorąc pod uwagę m.in. średnią długość zdania, procent słów trudnych i średnią długość łańcucha dopełniaczowego. Naukowcy liczą, że dzięki tej aplikacji język urzędników stanie się prostszy i bardziej zrozumiały. Jednak niektórzy językoznawcy, zwłaszcza ci lepiej znający urzędników, wątpią w to i moim zdaniem mają rację. Dlatego uważam, że zamiast na siłę upraszczać język urzędnika za pomocą Jasnopisa, prościej będzie zachęcić obywateli, aby w celu ustalenia, co jest napisane w jakimś urzędowym piśmie, udali się do jasnowidza.



felieton

CZY NA PEWNO WIESZ CO JESZ ?

PAMIĘTAJ, W ŻYCIU
NIE MA NIC CENNIJSZEGO
NIŻ ZDROWIE!



przekroczone
normy środków
owadobójczych
- pestycydów

metale ciężkie
azotany

witaminy

mikroelementy



Sprawdź źródło pochodzenia
kupowanych owoców i warzyw.
Wybieraj sprawdzonych dostawców!
Żyj zdrowo i świadomie.

Fundacja Alma Pokochaj Życie powstała po to,
by zmienić nawyki żywieniowe Polaków i uczyć,
jak zdrowo żyć! ZRÓBMY TO RAZEM!



www.almapokochajzycie.pl

Puszka Davida



Wawrzyniec Smoczyński

Nie takiego wyniku wyborów w Londynie życzyła sobie Angela Merkel. Jak większość unijnych przywódców, zmęczonych roszczeniową postawą Wielkiej Brytanii i groźbami Brexitu, w ubiegły czwartek wypatrywała przegranej Davida Camerona. Brytyjczycy nie tylko nie odwołali premiera, ale dali mu jeszcze silniejszy mandat na kolejne pięć lat – w tym *carte blanche* do renegotjacji warunków członkostwa Wielkiej Brytanii w Unii. Sytuację w Europie po zwycięstwie Camerona można więc czytać na dwa sposoby. Pierwszy głosi, że problemy z Londynem się skończyły – Partia Konserwatywna skonsumowała eurosceptyczny elektorat UKIP, poparcie Brytyjczyków dla integracji odbiło się od dna, a Cameron nie chce zostać zapamiętany jako ten, który wyprowadził brytyjski sztandar z sal posiedzeń w Brukseli. Zamiast żądać otwarcia unijnych traktatów zadowolony się pomniejszymi zmianami, a następnie sprzeda kompromis swoim wyborcom, a ci odrzucą pomysł wyjścia z Unii. To interpretacja z Europy kontynentalnej, która nie docenia wagi, jaką Brytyjczycy przywiązują do politycznych obietnic.

Druga szkoła głosi, że problemy z Londynem dopiero się zaczęły i niebawem przerodzą się w ciężki kryzys Unii. Z samodzielną większością w Izbie Gmin Cameron nie jest już uciążliwym awanturnikiem, który podbija eurosceptycznego bębenka, by podratować sondaże – mówiąc ogólnie, brytyjski premier ma dziś silniejszą legitymację wyborczą niż kanclerz Niemiec czy prezydent Francji. A to oznacza, że w zamian za uniknięcie Brexitu będzie domagał się od reszty Unii daleko idących ustępstw oraz że ośmieli inne stolice do rozluźnienia ich związków z Unią. Wymusi dyskusję o zmianie traktatów, co w dzisiejszej pokiereszowanej Unii można przyrównać do otwarcia puszkę Pandory.

Ten kryzys rozleje się poza Wielką Brytanię i kraje bogatej Północy. Zadłużone Południe również domaga się zmian: grecka Syriza drugi miesiąc szantażuje strefę euro Grexitem; hiszpańska Podemos, jeśli jesienią przejmie władzę, również będzie żądać od innych stolic większej solidarności. Jeśli do tego dojdzie zmiana polityczna w Polsce, czyli przejście władzy przez opozycję, która kontestuje proeuropejski kurs obecnego rządu i żąda bardziej suwerennej – patrz: brytyjskiej – polityki, nie będzie można dłużej mówić o odosobnionym problemie z Londynem czy Atenami. Cała Unia będzie mieć problem z Brukselą, a polityczny fundament Wspólnoty zacznie pękać.



© REUTERS/STEFAN ROUSSEAU/FORUM

Lecą głowy na Wyspach

Głowy polityków: lidera Partii Pracy Eda Milibanda, Nicka Clegga – szefa Liberalnych Demokratów, Nigela Farage'a – przywódcy antyeuropejskiej nacjonalistycznej partii UKIP. To efekt zaskakującego wyniku wyborów powszechnych w Wielkiej Brytanii. Spodziewano się powtórki z 2010 r., kiedy to nie udało się wyłonić parlamentarnej większości. Zjednoczonym Królestwem kierował rząd koalicyjny torysów z liberałami. Na powtórkę wskazywały sondaże, a także exit poll prowadzony w dniu wyborów. Tymczasem **David Cameron** dał radę i nie musi wyprowadzać się z siedziby premiera. Torysi mają dość wyraźną większość: 331 na 640 mandatów. Laburzyści, którzy już witali się z gąską, pozostaną w opozycji, ale z nowym liderem. Katastrofalny wynik odnotowali koalicjanci torysów: partia Clegga straciła prawie dwa razy więcej miejsc w Izbie Gmin niż partia Milibanda. Cios w plecy laburzystom zadali wyborcy szkoccy, którzy gremialnie głosowali na Szkocką Partię Narodową uśmiechniętej Nicolii Sturgeon. Z puli 59 mandatów dla Szkocji w parlamencie brytyjskim narodowcy zgarnęli prawie wszystkie, kosztem szkockiej Partii Pracy.

Losy angielskich antyeuropejskich nacjonalistów powinni się zainteresować wyznawcy kultu JOW. Sam lider UKIP nie zdobył mandatu, a jego partia, choć głosowało na nią prawie 4 mln osób (to spory sukces), zdobyła jeden. Na szkockich narodowców oddano ponad dwa razy mniej głosów niż na UKIP (prawie 1,5 mln), ale dzięki systemowi JOW wprowadzili 56 deputowanych. A liberałowie, choć uzyskali głosy blisko 2,5 mln wyborców, czyli także znacznie więcej niż Szkoci, stracili aż 49 miejsc w Izbie Gmin. Mamy więc wielkie przetasowanie w polityce brytyjskiej, wynikające częściowo z niereprezentatywnego systemu wyborczego. Cameron ma prawo się cieszyć jako lider, ale jako przywódca państwa powinien się raczej martwić o polityczną przyszłość Królestwa. Wychodzi ono z wyborów coraz mniej zjednoczone, a coraz bardziej niepewne kierunku, w jakim zdąży.

Krainy bezgotówkowe

Dania ściga się ze Szwecją o tytuł „pierwszego społeczeństwa bezgotówkowego”. W ramach tego pojedynku rząd w Kopenhadze zaproponował, aby od przyszłego roku w placówkach handlowych, także w restauracjach i na stacjach benzynowych, znieść obowiązek przyjmowania opłat w gotówce, a więc posiadania klasycznych kas płatniczych. Ma to znacznie potanić koszty i zwiększyć produktywność. Już co trzeci Duńczyk korzysta z aplikacji MobilePay, która pozwala płacić za pomocą telefonu komórkowego. Aby uszczelnić system, obywatele, dla dodatkowego potwierdzenia swej tożsamości, posługują się numerem ubezpieczenia społecznego. Kto nie ma takiego numeru, komórki ani karty kredytowej, wkrótce w sklepie może stać się całkowicie bezradny. Ale liczą się ogólnokrajowe oszczędności. Szwecja z kolei stawia na bezgotówkowe banki. Jak bardzo są już bezgotówkowe, poznaliśmy na własnej skórze napastnicy w jednym z banków w Sztokholmie, którzy nie byli w stanie zrabować ani korony, bo takich w naturze tu nie było. Pięć z sześciu największych sieci bankowych postawiło na szybką bezgotówkowość, a do 2030 r. zaplanowano całkowite uwolnienie kraju z tego brzęczącego i szeleszczącego balastu.

Napięcia i prąd

Nowy rząd w Jerozolimie, koalicja likudowców Beniamina Netanjahu z prawicowymi i ortodoksyjnymi partiami, musi zmierzyć się z kolejną odsłoną konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Tym razem chodzi o 430 mln dol. długu, który narósł dlatego, że Palestyńczycy nie płacili za prąd, który Izraelczycy dostarczali do ich domów na Zachodnim Brzegu, we Wschodniej Jerozolimie i w Strefie Gazy. Strony nie mogą się dogadać co do ilości zużywanej energii i sposobu ściągania płatności. Izraelskie firmy, które odsprzedają energię władzom samorządowym palestyńskich miast i firmom dystrybucyjnym, uważają, że opłaty od Palestyńczyków powinni ściągać miejscowi urzędnicy. Ci z kolei twierdzą, że firmy dostarczające energię są zarejestrowane w Izraelu, więc palestyńskie urzędy niczego od nich wymagać nie mogą.

W 2010 r. Palestyńczycy nie zapłacili za 37 proc. wykorzystanej energii, a w 2013 r. na konta w Izraelu przelano zaledwie połowę należności. Dużą część zadłużenia generują mieszkańcy Strefy Gazy i rozsiadani na Zachodnim Brzegu obozów dla uchodźców. Niezapłacone rachunki tylko z jednego obozu Tulkarm, gdzie mieszka 22 tys. Palestyńczyków, sięgają ponad 15 mln dol. Na razie Izrael potrąca część podatków, które co miesiąc zbiera w imieniu Autonomii Palestyńskiej, twierdząc, że w ten sposób równoważy sobie chociaż część strat. Palestyński rząd zapewnia, że dług spłaci co do grosza, ale mieszkańcy Tulkarm, których nie stać na kurczaka za 6 dol., rachunki za prąd dawno przestali płacić, i w ich sytuacji raczej niewiele się zmieni.



© DEMOTIX/REPORTER

Coś tu śmierdzi

Unia Europejska pogroziła palcem Tajlandii. Ten azjatycki kraj jest trzecim największym eksporterem ryb i owoców morza na świecie, a Wspólnota co roku płaci za nie Bangkokowi pół miliarda euro. Teraz jednak ostrzegła, że wprowadzi embargo na tajskie produkty, jeżeli władze nie uporają się z niewolnictwem w sektorze rybnym. Z 300 tys. pracowników aż 90 proc. to imigranci zarobkowi, którzy są zmuszani do życia na kutrach, bo w ostatnich pięciu dekadach Tajowie tak przełowili swoje akweny, że dziś łodzie tygodniami nie wracają do portu. Według organizacji praw człowieka imigrantom płaci się grubo poniżej umawianych stawek, są regularnie bici i zastraszani, padali też ofiarami morderstw. Junta wojskowa, która rok temu przejęła władzę w zamachu stanu, zakazała lokalnym mediom pisać na ten temat, a sama planowała wykorzystać do pracy przymusowej na kutrach więźniów – ostatecznie wycofała się z tego pomysłu pod naciskiem społeczności międzynarodowej. Unijne groźby mogą nie odnieść skutku, bo USA importują czterokrotnie więcej tajskich ryb i owoców morza niż Unia, a żadnego niewolnictwa nie wypominają.



© REUTERS/DAMIR SAGOLJ/FORUM

Krótką pamięć



Adam Krzemiński

komentarz

Wielka parada wojskowa na pl. Czerwonym 9 maja była plastrem na rosyjską duszę – wygraliśmy wtedy, a i teraz jesteśmy silni, zwarci i gotowi. Nic tam zachodnie sankcje z powodu Krymu! Co z tego, że zachodni politycy nie przyjechali do Moskwy na paradę, skoro przyjechali do nas, a nawet maszerowali z nami, Chińczycy? Właśnie zaczynamy z nimi wspólne manewry na Morzu Śródziemnym. A komu się to nie podoba, to jego sprawa.

Niezupełnie. Każda nieobecność jest odnotowana – przyznają moskiewskie „Wiedomości” – „w ciągu jednego roku Dzień Zwycięstwa zmienił się w element aktualnej polityki zagranicznej (...). Wszystko jest wrzucane do jednego worka: 70-lecie zakończenia wojny, ponowne zjednoczenie z Krymem i sukcesy separatystów w Donbasie. Do tego dochodzi popularna od kilku lat logika, by zwycięstwem w II wojnie światowej usprawiedliwiać zbrodnie radzieckiego kierownictwa ze Stalinem na czele. A obecnie tamto zwycięstwo jest nadużywane do usprawiedliwiania naszej agresywnej polityki”. Szczególnie uwiera Kreml stanowisko Berlina w polityce historycznej. Niemieccy politycy, jak większość prezydentów i premierów z Zachodu, zbojkotowali paradę. Ale pokłonili się przed żołnierzami radzieckimi, którzy także Niemcy wyzwolili – to stwierdzenie już się w Niemczech utarło – od narodowego socjalizmu. Minister spraw zagranicznych Frank-Walter Steinmeier mówił w Włogoczarzynie o niemieckiej winie i prosił o wybaczenie za niemieckie zbrodnie. Gdy jednak Angela Merkel w Moskwie wspomniała o współwinie Stalina za wybuch wojny w 1939 r., Putin nie wytrzymał, mówiąc, że Polska sama sobie była winna, uczestnicząc w 1938 r. w rozbiórce Czechosłowacji.

Putin już zapomniał, że sam 1 września 2009 r. na Westerplatte – zresztą w obecności Angeli Merkel – potępił pakt Ribbentrop-Mołotow jako niemoralny. Mylił poza tym przyczyny i skutki. Zajęcie Zaolzia przez armię polską nie było przyczyną rozbioru Czechosłowacji, lecz skutkiem traktatu monachijskiego, którego Polska nie była sygnatariuszem. Natomiast tajny protokół diabelskiego paktu Stalina z Hitlerem był wyraźnym zaproszeniem do wojny i wyznaczeniem podziału łupów. Polski Sejm ustawa z sierpnia 1989 r. przepraszył południowych sąsiadów zarówno za zajęcie Zaolzia w 1938 r., jak i za udział ludowego WP w zgnieceniu „praskiej wiosny” w 1968 r. Natomiast Władimir Putin – mimo swych wizyt na Westerplatte i przyklęknięcia w 2010 r. w Katyniu – teraz twierdzi, że nie było nic złego w tym, że Stalin chciał uniknąć wojny. To takie samo historyczne kłamstwo jak to, że Rosja nie ma nic wspólnego z inwazją Krymu.

Sejm wg JOW: PO – 306 posłów, PiS – 151, PSL – 3, SLD – 0



© ANDRZEJ STAWIŃSKI/REPORTER

Jednym jasno sformułowanym punktem programu Pawła Kukiza, który zebrał niespodziewanie jedną piątą głosów w pierwszej turze wyborów prezydenckich, jest wprowadzenie jednomandatowych okręgów w wyborach do Sejmu. Polska podzielona zostałaby więc na 460 okręgów, z których na Wiejską dostawałby się tylko jeden poseł po zdobyciu największej liczby głosów. W poniedziałek prezydent Bronisław Komorowski, rozpoczynając kampanię w drugiej turze, zapowiedział, że chce referendum w sprawie wprowadzenia takiego systemu wyborczego. Zdaniem Kukiza w ten sposób udałoby się odbetonować scenę polityczną, o składzie Sejmu przestaliby decydować partyjni bonzowie, a miernych i posłusznych działaczy partyjnych zastąpiliby lokalni liderzy, którzy zbudowali własny dorobek w swoich społecznościach. Kukiz chce przy pomocy JOW – jak sam mówi – „oddać władzę w ręce Polaków”, czyli uczynić Sejm bardziej reprezentatywnym.

Jan Koza



© JAN KOZA

Problem w tym, że jednomandatowe okręgi z założenia służą do czegoś innego: do zbudowania stabilnej większości dla rządu. W państwach, w których takie rozwiązanie funkcjonuje, najczęściej mamy do czynienia z systemem dwupartyjnym, gdzie jedno z ugrupowań stwarza gabinet i rządzi samodzielnie, nie ma korekt wynikających z konieczności tworzenia koalicji, tak jak w systemach reprezentacji proporcjonalnej, np. w Polsce.

Co by się zdarzyło, gdyby Polska przyjęła system okręgów jednomandatowych? POLITYKA INSIGHT przeprowadziła symulację opartą na wynikach ostatnich wyborów do Sejmu w 2011 r. PO zdobyła wtedy 39 proc. głosów, PiS – niecałe 30 proc., Ruch Palikota 10 proc., a PSL i SLD po niewiele ponad 8 proc. Jak przełożyłoby się to na mandaty? Zwycięzca wzięłoby wszystko, mniejsze partie by zniknęły. Platforma miałaby 306 posłów (66 proc.), PiS – 151 (32 proc.), a PSL – trzech (0,6 proc.). PO z PSL miałyby większość uprawniającą do zmiany konstytucji i dwukrotną przewagę nad PiS. Lewicy w Sejmie nie byłoby wcale. Być może do parlamentu wślizgnęłoby się kilku znanych polityków, bez własnych partii, ale to tyle. System jednomandatowy mamy już zresztą w wyborach do Senatu. I wyniki wyglądają jak nasza sejmowa symulacja: na 100 senatorów PO wprowadziła 63, PiS – 31, PSL – 2. Poza tym do izby wyższej weszli Włodzimierz Cimoszewicz, Marek Borowski (z cichym poparciem PO) oraz znany reżyser Kazimierz Kutz i kandydat lansowany przez popularnego prezydenta Wrocławia Rafała Dutkiewicza.

Takie efekty potwierdzają wyniki z innych krajów. Chociażby z Wielkiej Brytanii, gdzie właśnie trzecia w wyborach antyeuropejska UKIP zdobyła jeden mandat, mając 3,8 mln wyborców, czwarcy Zieloni z 1,1 mln – też jeden (parlament liczy 650 posłów). Na drugim biegunie uplasowała się regionalna partia unionistów z Irlandii Północnej: ośmiu posłów przy poparciu 184 tys. wyborców. Wniosek: w przyszłości w Sejmie może miałyby szanse partie regionalne – śląskie czy kaszubskie. Gdyby w tym roku wybory do Sejmu odbyły się według ordynacji jednomandatowej, minimalna przewaga jednej z głównych partii – PO lub PiS – dałaby jej samodzielną większość. Z tworzącego się ruchu społecznego Kukiza do Sejmu wszedłby może sam Kukiz.

ŁUKASZ LIPIŃSKI, WSPÓŁPRACA PIOTR ARAK

O JOW także w rozmowie z Radosławem Markowskim na s. 14.

10 fakturowych godzin (5–10 tys. zł) zajmuje warszawskim kancelariom napisanie średnio skomplikowanej procedury antymobbingowej. Po oskarżeniach tygodnika „Wprost” wobec Kamila Durczoka w ostatnich miesiącach kancelarie prawne częściej proszone są przez firmy o pomoc przy tworzeniu wewnętrznych mechanizmów zgłaszania i rozpatrywania skarg o mobbing. Nie są one wymagane przez prawo, ale w razie pozwu o odszkodowanie mogą być dla pracodawcy okolicznością łagodzącą. Pokazują, że firma traktowała zjawisko mobbingu poważnie, zapewniają też ewidencje wcześniejszych zgłoszeń na wypadek kontroli Państwowej Inspekcji Pracy. (PS)

Koniec jazdy bez prawa jazdy

Już 17 maja wchodzi w życie największe i najbardziej restrykcyjne od dawna zmiany w zasadach ruchu drogowego. Ustawodawca poszedł ławą i częściowo znowelizowany został nie tylko Kodeks drogowy, ale kilka innych ustaw, w tym Kodeks karny. Główna zmiana będzie polegała na uproszczeniu procedury odebrania prawa jazdy w przypadku przekroczenia prędkości o ponad 50 km/h w terenie zabudowanym. Policja szczególnie o to zabiegała, bo tam najczęściej dochodzi do śmiertelnych wypadków. Zatrzymanie dokumentu w takim wypadku następuje na trzy miesiące i odbywa się w trybie administracyjnym, czyli bez udziału sądu. Takie rozwiązanie nie tylko upraszcza procedurę, ale też daje policji bardzo silne uprawnienia. Na celownik policji trafią również recydywiści, pijani kierowcy oraz kierujący bez uprawnień.

Policja liczy, że te zmiany pozwolą jej na skuteczniejszą walkę z piratami drogowymi. W zeszłym roku na wniosek MSW policja dostała wytyczne na temat postępowania wobec osób łamiących prawo w sposób szczególnie rażąco. W takich sytuacjach policjanci mieli z automatu zabierać prawa jazdy. I rzeczywiście to robili. O ile w poprzednich latach zatrzymywano w takich sytuacjach ok. 1500 dokumentów rocznie, o tyle w 2014 r. zabrano ich ponad 10 tys. – *Okazało się jednak, że w większości przypadków sądy uznawały działania policji za zbyt rygorystyczne i oddawały ukaranym kierowcom dokumenty* – dodaje prosiący o anonimowość policjant. W niektórych miejscach do piratów drogowych wracało nawet 80 proc. zatrzymanych przez policję dokumentów. Nowe przepisy



© MIROSLAW PIESLAK/FORUM

częściowo odbierają sądom uznaniowość, wyraźnie wskazując, jaka ma być restrykcja. Nowelizacja jest tak szeroka, że policja musiała opracować broszurę dla funkcjonariuszy, żeby wiedzieli, co się zmienia. Policja chce iść za ciosem i istotnie podnieść wysokość mandatów, ale ostatnie słowo należało będzie do polityków, którzy w tym roku wolą nie drażnić swoich wyborców. (JULI)

Rządowa brama internetowa

Dotychczas nie było jednej rządowej strony, z której moglibyśmy się dowiedzieć, jakie mamy obowiązki i prawa, kiedy planujemy małżeństwo, zmieniamy adres zamieszkania, kupujemy samochód czy musimy zająć się pochówkiem bliskiego. Latem ruszy rządowa strona internetowa, która obejmie 80 usług informacyjnych administracji, w tym sześć e-usług. – *Zależy nam, aby na wzór gov.uk w jednym miejscu zacząć zgromadzić publiczne e-usługi i opisać procesy urzędowe dotyczące obywateli* – mówi Nikodem Bończa-Tomaszewski, dyrektor Centralnego Ośrodka Informatyki (COI). Ośrodek czuwa nad technicznymi rozwiązaniami serwisu stworzonego przez KPRM, a jeszcze w maju rząd ma przyjąć uchwałę opisującą usługi, które ostatecznie znajdą się na stronie nazywanej przez Ewę Kopacz „Bramą internetową” do administracji. W tej bramie znajdziemy opisany krok po kroku sposób postępowania w kwestiach praw obywatelskich (np. jak wpisać się na listę wyborców); budowlanych (jak uzyskać pozwolenie na budowę); ubezpieczeń społecznych (jak uzyskać świadczenie rehabilitacyjne); edukacyjnych (jak uzyskać wyprawkę szkolną); finansowych (informacje o formularzach podatkowych). Brama pokieruje nas do właściwego urzędu, a jeśli jakąś sprawę można załatwić przez internet, to przekieruje nas do odpowiedniego serwisu. (DĄB.)

Ilu mamy bezrobotnych?

Na to z pozoru proste pytanie odpowiedź jest coraz trudniejsza. Co miesiąc Główny Urząd Statystyczny publikuje dane o liczbie osób zarejestrowanych w urzędach pracy i wylicza stopę bezrobocia. W marcu była ona na poziomie 11,7 proc. (w lutym 12 proc.). Jednak również co miesiąc unijny urząd statystyczny Eurostat podaje dane dotyczące wszystkich krajów członkowskich. Według Eurostatu stopa bezrobocia w Polsce w lutym wynosiła 7,8 proc. Co ciekawe, Eurostat dostaje dane... z polskiego GUS. Jak wyjaśnić tę sprzeczność?

GUS liczy wszystkich mających w Polsce status bezrobotnego, a Eurostat tylko tych, którzy naprawdę szukali pracy w ciągu ostatnich czterech tygodni i są gotowi do jej podjęcia w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Kiedyś dane publikowane przez GUS i Eurostat były bardzo zbliżone, jednak od 2006 r. różnica między nimi zaczęła się powiększać, a teraz po raz pierwszy przekroczyła aż cztery punkty procentowe. Co to oznacza? – *Większość osób zarejestrowanych jako bezrobotne, ale nie występujące w statystykach Eurostatu, to pracujący w szarej strefie – w Polsce i za granicą. Status oficjalnego bezrobotnego jest im potrzebny do uzyskania ubezpieczenia zdrowotnego* – wyjaśnia dr Małgorzata Starczewska-Krzysztożek, główna ekonomistka Polskiej Konfederacji Pracodawców Prywatnych Lewiatan. Poza tym są jeszcze ci, którzy mają status bezrobotnych, ale żadnej pracy nie szukają. Wybór metody liczenia bezrobotnych wpływa na ocenę naszej gospodarki. Bo jeśli wierzymy Eurostatowi, osób bez pracy jest w naszym kraju mniej niż 1,4 mln, a stopa bezrobocia spadła w ciągu ostatnich 10 lat z ponad 18 do niespełna 8 proc. A to daje nam wynik lepszy niż unijna średnia (obecnie ok. 10 proc.). Jeśli natomiast ufamy raczej statystykom bezrobocia rejestrowanego, tak dobrze już nie jest, bo mamy wciąż prawie 2 mln osób bez pracy, a ze stopą na poziomie 12 proc. łądujemy na 21 miejscu w Unii.

Ekonomiści uważają, że dużo bliższy prawdy jest Eurostat, ale jego dane wydadzą się pewnie zbyt optymistyczne Polakom. Możemy się tylko pocieszać, że podobne różnice w liczeniu nie są naszą specjalnością. Niemcy również inne dane podają na użytek wewnętrzny, a inne przekazują do Eurostatu. U nich w urzędach pracy są zarejestrowane prawie 3 mln osób (stopa bezrobocia 7 proc.), jednak według Eurostatu zatrudnienia nie może znaleźć niespełna 2 mln Niemców, a bezrobocie wynosi mniej niż 5 proc. i jest najniższe w całej Unii Europejskiej. (C.K.)

popieram Komorowskiego

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER



Druga tura wyborów prezydenckich pokaże, czy **Bronisław Komorowski** ma tyle mocy, aby zostać niekwestionowanym liderem formacji pod nazwą nie-PiS.

Drugie starcie

MARIUSZ JANICKI, WIESŁAW WŁADYKA

Pierwsza tura wyborów przyniosła sensacyjny wynik. Jednak sondażowe trendy sugerowały, że w końcówce kampanii w elektoratach kandydatów zachodzą bardzo dynamiczne zmiany. Notowania prezydenta Komorowskiego spadały w ekspresowym tempie (42, 39, 37, 35 proc.), a Pawła Kukiza rosły (9, 11, 13, 15, 17, 19 proc.) w czasie niewiele dłuższym niż tydzień. Andrzej Duda także zyskał kilka punktów w ostatnich dniach (sprzyjała mu też niższa frekwencja). Ale główna rozgrywka wyraźnie toczyła się pomiędzy wyborcami Komorowskiego i Kukiza.

Bronisław Komorowski i Andrzej Duda po kilkumiesięcznych, wyczerpujących kampaniach uzyskali wyniki w granicach rezultatów, jakie w sondażach partyjnych dostają PO i PiS. Dudzie nie udało się przekroczyć poziomu poparcia dla partii

Kaczyńskiego, ale znacznie boleśniejsza dla urzędującego prezydenta była utrata blisko 30 proc. z notowań, jakie miał jeszcze na początku roku, co z punktu widzenia skuteczności było katastrofą, najgorszą kampanią 25-lecia. Pozostał mu twardy elektorat PO, a odeszli tzw. wyborcy obywatelscy. Część z nich zagospodarował Paweł Kukiz.

Okazuje się, że chociaż trwająca od dekady walka PO z PiS wciąż jest najważniejszym konfliktem (te partie łącznie mają ok. 70 proc. wskazań), to obok zaczynają się tworzyć nowe polityczne nurty. Grupują ludzi, którzy albo wyrażają wrogi brak zainteresowania sporem PO z PiS, odrzucając oba ugrupowania, albo robią sobie „estetyczną” przerwę, aby potem wrócić do pierwotnych politycznych sympatii. Ściągają także ludzi, którzy mają w sobie jakąś energię polityczną, jakiś kapitał niezadowolonia, ale jak dotąd nie znajdują sobie miejsca politycznego, sami zresztą nie wiedząc, jakie ono powinno być. Nazywa się ich czasami „oburzonymi”, „obywatelami nieznanymi”, „rewolucjonistami incydentalnymi” w tym sensie, że mogą z nagłą ujawniać w konkretnej sprawie czy przy jakimś incydencie swoją aktywność, by za chwilę zaniknąć i rozejść się do domów, czy raczej wrócić do komputerów i do życia prywatnego.



Pytanie stojące przed sztabem Komorowskiego brzmi: ilu z wyborców Kukiza głosowało na rockmana po to, aby ukarać Platformę w pierwszej turze, ale w drugiej powrócą i, mimo niechęci, zagłosują na obecnego prezydenta. Ilu z nich uzna, że Duda jednak jest nie do przyjęcia i że trzeba go zatrzymać przed Belwederem? Ale nawet optymistycznie dla Platformy zakładając, że połowa spośród tych kukizowców, którzy wezmą udział w drugiej turze, zagłosuje na Komorowskiego, i dokładając wyniki Magdaleny Ogórek, Adama Jarubasa i Janusza Palikota, co samo w sobie jest oczywiste, to i tak 50 proc. potrzebne do wygranej nie jest pewne. Nie będzie sukcesu bez uruchomienia przez Platformę rezerw, które w 2007 i 2011 r. przyniosły jej parlamentarne wygrane – bo ten pojedynek będzie teraz znacznie bardziej partyjny niż w pierwszej odsłonie. A też topografia elektoratów w drugiej rundzie może zmienić się wewnątrz w tym sensie, że łatwo jest sobie wyobrazić, iż część wyborców z pierwszej rundy do drugiej nie przystąpi, a pojawią się nowi, nieobecni wcześniej.

Frekwencja w pierwszej turze była słaba jak na wybory prezydenckie; co więcej, niższa od średniej była w województwach platformerskich, a wyraźnie wyższa w tych, gdzie dominuje PiS. Mobilizacja zatem elektoratu, odnowienie i przypomnienie kulturowego sporu, który mimo wszystko wyznacza główną linię podziału w kraju, jest w tej chwili jedynym wyjściem dla sztabu prezydenta. Przed pierwszą turą przez wiele tygodni ten spór był zacierany. Komorowski chciał być „kandydatem obywatelskim”, obrońcą dorobku i pre-

stży państwa, stabilizatorem, takim dobrym wujkiem demokracji – dla wszystkich. To wyraźnie nie wypaliło. Przekonywanie o tym, że jest dobrze, że trzeba bronić status quo, na poziomie emocji musi przegrywać z postulatem zmian, potrząśnięcia systemem, krytyką establishmentu. A taki rodzaj krytyki uprawiali niemal wszyscy kontrkandydaci prezydenta, który samotnie bronił osiągnięć III RP. Skupił zatem na sobie wszystkie – nawet najbardziej niemądre i niesprawiedliwe – pretensje i oskarżenia, polityczne, gospodarcze i społeczne tej Rzeczypospolitej.

W drugiej turze Komorowski nie ucieknie od roli reprezentanta konkretnego obozu politycznego i ideowego, który ściera się z drugą, radykalnie odmienną opcją. Tusk, jak było trzeba, potrafił ściągnąć wyborców z grillu; pytanie, jak w tej roli przejdzie się Komorowski. A wyborcy „obywatelscy” będą się musieli w tym podziale odnaleźć i odpowiedzieć na pytanie, czy wolą duet Duda-Kaczyński czy Komorowski-Kopacz. Zwycięstwa to nie gwarantuje, gdyż Platforma nie robi wrażenia partii energicznej, gotowej walczyć, stojącej murem za swoim kandydatem. Snuje się, pozbawiona wieloletniego lidera, który wyjechał do Brukseli, a pozostali albo jakoś zmaleli, albo usunęli się w cień, zapewne szykując się do rozgrywek partyjnych w następnej odsłonie, już po wyborach parlamentarnych. Nie wiadomo, czy wykrzeszą z siebie jeszcze jakiś optymizm i wolę walki.

Ale nie tylko o doraźne wyborcze kalkulacje chodzi. Wynik Kukiza pokazuje, że w społeczeństwie, zwłaszcza wśród młodych ludzi (ponad 40 proc. wyborców piosenkarza to osoby do 29 roku życia, Duda ma ich ok. 11 proc., a Komorowski – 8 proc.), zachodzą polityczne zmiany. Swoje oczywiście zrobiła sączona od lat narracja PiS, opowiadająca polską klęskę, ekonomiczny upadek i utraconą suwerenność, mimo że obiektywne parametry gospodarcze mówią coś zupełnie innego. Ten apokaliptyczny język przeniknął do życia publicznego i jest wykorzystywany przez innych populistów i głosicieli „wielkiej zmiany”. Ale to nie wszystko.

Wielu młodych ludzi uważa się za ofiary systemu. Nie kontestują samej demokracji, ale postrzegają państwo jako instytucję pazerną, niesprawną, która nic im nie daje, a ściąga od nich haracz. Nie dostają etatu, tylko śmieciówki, bo słyszą od pracodawców, że koszty pracy z powodu danin do budżetu są zbyt wysokie. Płacą ZUS, będąc przekonanymi, że za 40 lat i tak nie będą mieć żadnej emerytury. Odprowadzają składki zdrowotne, bo muszą, ale leczą się prywatnie. Finansują publiczne szkoły, ale jeśli mogą, posyłają dzieci do niepublicznych. Wszędzie widzą wyciągniętą łapę państwa, z którego usług nie korzystają, bo uznają te usługi za marne. Także w innych sferach, lekceważonych przez władzę jako piarowo nieistotne: dziwaczne działania wymiaru sprawiedliwości, wobec jednych bardzo surowe, wobec innych zadziwiająco wyrozumiałe, głośne ekscesy komorników, tępa biurokracja, nepotyzm, pazerność i bezkarność polityków. Również ich nonszalancja, arogancja, wyalienowanie, rutyna i widoczny cynizm (a tak są powszechnie odbierani) nie budują zaufania, nie rodzą sympatii, jest wręcz odwrotnie. Jednym z głównych chwytów kampanii antysystemowej było wyzywanie elit politycznych, oskarżanie ich o wszystkie możliwe przewiny.

To nie musi być do końca racjonalny opis rzeczywistości, ale na tym właśnie opiera się antysystemowość, przekonanie, że obrona obecnego porządku leży w interesie sytej władzy i jej klienteli. A burzyciele tego porządku, we własnym przekonaniu, nie mają nic do stracenia. Ci, którzy pobrali kredyty na mieszkania, chcą mieć spokój i stabilizację, bo inaczej długu nie spłacą. Opowiadają się raczej za partią, która nie jest skłonna do ekstrawagancji i awantury, czyli za PO. Ale rośnie rzesza tych, którzy nie mają kredytów i żadnych szans, aby je dostać. To oni chcą niskich podatków i odrzucenia wszelkich innych danin „na system”, którym się brzydzą. To w tym miejscu tworzy się nowy podział pokoleniowy i ekonomiczny, owocujący politycznymi tworam, jak ruchy Korwina czy Kukiza. Nie są one jeszcze na tyle silne, ►